



Powidoki po wystawie

Moje subiektywne odczucia po obejrzeniu wystawy „Powidoki życia. Władysław Strzemiński i prawa dla sztuki” w ms2 – pierwszej tak obszernej ekspozycji prac tego artysty (obrazy, rysunki, projekty tkanin, rękopisy) w Łodzi od 17 lat.

Jest wtorek, 30 listopada 2010 r. – wpół do siódmej wieczorem. Właśnie kończą się moje zajęcia w ramach projektu „Media oknem na świat” organizowanego przez magazyn „Purpose”. Wyposażony w nową wiedzę na temat gatunków dziennikarskich – tak usilnie wpajaną mi przez prowadzącą – udaję się zaśnieżoną ulicą Zachodnią w stronę Manufaktury, na terenie której znajduje się ms2.

Czynię to bez szczególnego entuzjazmu, ale z poczuciem obowiązku – w końcu trzeba będzie o czymś ten tekst napisać – i z charakterystycznym dla mnie pośpiechem, a raczej jego brakiem – przecież muzeum otwarte jest aż do dwudziestej. Właśnie otwarto w nim nową wystawę poświęconą Strzemińskiemu pod niewiele mówiącym tytułem „Powidoki życia” (że jak przepraszam? ale o co chodzi?). Kiedy docieram na miejsce, jest już po siódmej. Po upewnieniu się, czy aby na pewno wystawa jest bezpłatna, wkraczam do tego nowoczesnego przybytku sztuki z planem jak najszybszego odfajkowania tej „imprezy”.

Właśnie miałem zacząć zwiedzanie, kiedy spotkałem koleżankę z integracyjnego obozu studenckiego, która aktualnie pracuje w jednej z lokalnych stacji radiowych i przyszła tu również ze względów zawodowych niż z potrzeby serca. Nie chcąc wyjść na dziwaka lub co gorsza snoba, który pokazuje się w takich miejscach tylko po to, żeby się lansować, zdradzam prawdziwy, ale jakże przyziemny powód mojej wizyty w tym miejscu. Po krótkiej wymianie uprzejmości rozpoczynamy konwersację o studiach, pracy, życiu, perspektywach na przyszłość (czyli po studenckich powidokach), a gdy kończą się nam inne tematy – o sztuce. Dochodzimy do wniosku, że przed tymi abstrakcyjnymi rysunczkami zatrzymać się może na dłużej tylko historyk sztuki albo „kloszard”. Kiedy się żegnamy, pozostaje mi już ledwie pół godziny do zamknięcia muzeum.

Zaczynam powoli, jak żółw ociężale, ospale, niczym lokomotywa po szynach z wiersza Tuwima. Mijam w ten sposób martwą naturę i inne niewzbudzające u mnie szczególnych uczuć kompozycje unistyczne. I nie wiadomo, kiedy i dlaczego, zaczynam odbierać tę sztukę – najpierw jak przystało na abstrakcje, w sposób intuicyjny. Biegam, gnam od obrazu do obrazu jak szalony. Na refleksje przyjdzie czas później. Teraz z megafonu odzywa się ponagląjący głos: „proszę kierować się do wyjścia”.

Z niepokojem rozglądam się dookoła, jednak na szczęście nie jestem jedynym pozostałym na sali. I nie mówię tu tylko o pracującym tam personelu, który notabene wcale nas – spóźnialskich albo nienasyconych – nie pospiesza i nie traktuje jak przeszkody przed wcześniejszym zamknięciem sali i zakończeniem pracy. Oceniam, co już mi się udało, a co jeszcze zostało do obejrzenia. Wiem, że czasu nie starczy na wszystko, a przynajmniej nie tyle, ile bym sobie życzył. Czuję się trochę jak młody faraon z opowiadania przerabianego w szkole, który czekając na tron po swoim ojcu, przygotował sobie zawczasu listę rzeczy do załatwienia. Kiedy jednak wreszcie objął rządy, ukąsiła go kobra i okazało się, że nie zostało mu wystarczająco dużo czasu, aby wszystko, co sobie zaplanował, zrealizować. Musi więc dokonywać dramatycznych wyborów – co w pierwszej kolejności, a co można już definitywnie skreślić. Tak samo ja – muszę podejmować decyzję, co teraz, a co mogę odłożyć ad acta albo do kolejnej wizyty.





Muzeum opuszczam jako ostatni zwiedzający, z niedosytem wrażeń i silnym zamiarem ponownego odwiedzenia tej zacnej instytucji. Choćby jednak dane mi było spędzić tutaj całą noc, to i tak wiem, że nie ogarnę całej głębi tej wystawy. Na szczęście zostały mi jeszcze foldery wzięte z muzeum, które skwapliwie studiuję w tramwaju po drodze do domu. Czytam więc ciało/obraz/proteza, konstrukcja/utopia/polityczność, oko/obraz/rzeczywistość oraz obiekt/fetysz/fantazmat, na które to działy tematyczne podzielona jest wystawa, starając się przypomnieć odnoszące się do nich obrazy i uporządkować tym sposobem całą tę układankę.

Przychodzi mi to z łatwością – samo, nieproszone. Z jednej strony jest to na pewno zasługą niemieckiej artystki Katji Strunz, która zaprojektowała sposób prezentowania prac malarza. Obrazy zawisły na ścianach działowych, które widziane z góry tworzą litery alfabetu Strzemińskiego stworzonego przez niego na początku lat 30. XX w. Litery układają się w neologizm „ZEITTRAUM”*, który zawiera w sobie takie znaczenia, jak przestrzeń, czas i marzenie sennie.

Za sprawą aranżacji widzowie wkraczają w świat Strzemińskiego, stają się jego częścią. Całą twórczość Strzemińskiego możemy uznać za powidok jego życia. Znajdziemy w jego obrazach, mimo że abstrakcyjnych, odniesienie do tego, w jaki sposób postrzegał swoją rolę jako artysty i obywatela. Z obrazami artysty jest jak ze słońcem. Na co dzień go nie dostrzegamy, jeśli jednak zaczniemy się w nie głęboko wpatrywać (dzieci, nie próbujcie tego bez rodziców), to nawet jeśli odwrócimy wzrok, oko na jakiś czas zachowa jego obraz. Taka jest właśnie siła powidoków Strzemińskiego – jeśli tylko damy im szansę, wypalą w nas ślad, który przez długi czas nie ulegnie zatarciu.

*„Zeittraum” składa się z trzech wyrazów: zeit (czas), traum (marzenie) i raum (przestrzeń). W języku niemieckim istnieje jedynie wyraz „Zeitraum”, czyli przestrzeń czasu. Dodając jedno 't', tworzy się przestrzeń czasową wzbogaconą o element marzenia. Ten neologizm zwraca uwagę na to, że wchodzimy w przestrzeń, w której panuje inny czas. Przerwane zostaje kontinuum czasoprzestrzenne, podobnie jak w marzeniu sennym. Retrospektywa oznacza spojrzenie za siebie – wyjaśnia niemiecka artystka. Źródło: Marta Pietrasik: Powidoki po latach. W: Strzemiński w ms2 - Dodatek do Gazety Wyborczej, 30 XI 2010, str. 1

Na podstawie... broszury informacyjne ms2: „Kolekcja sztuki XX i XXI wieku”, „Strzemiński Pro”.

Paweł Paruzel